№ 33. Warszawa, dnia 15 (3) Sierpnia 1896 roku. Rok XXXVIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

Antoni Miecznik.

OWANES OHANA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Ale i smutno mu było; miał opuścić tę Wysocką odaję, na której się urodził, wychował, na której żył z matką, ojcem i gdzie wreszcie poznał Helcię, tę dobrą a taką piękną Helcię. A przyzwyczaił się do młodej dziewczyny, lubił bardzo w wolnych chwilach rozmawiać z nią o wszystkiem, co słyszał, czego się uczył, o czem w swem młodem serduszku marzył. Stefek zwykle uganiał się za jakim źrebakiem lub gonił się z chłopakami po rozrzuconych stertach słomy na toku, wówczas tylko oboje grali razem w piłkę, krokieta lub zmęczywszy się, siadywali na ławeczce i gawędzili naiwnie.

Helcia była pojętną dziewczynką, z oczu jej czarnych tryskała inteligencya, a na czole białem przebijała się myśl żywa, rozumna.

Bawiło ją i cieszyło wielce to obcowanie z małym Owanesem, który już teraz wcale nie był podobny do dawnego, biednego, oberwanego sieroty. Teraz był on zawsze czysty, zawsze porządnie ubrany. Owanes czemkolwiek mógł, starał się dogodzić swej towarzyszce, nauczył ją po ormiańsku czytać, nawet trochę mówić. Śmieli się oboje, kiedy im się udało zawiązać jaką ormiańską konwersacyą. Dziewczyna co chwila przekręcała wyrazy, kalecząc je niemiłosiernie, czasami tak naumyślnie dla żartu, a mały nauczyciel poprawiał ją i strofował.

Wiedział, że Helcia lubi kwiaty, więc jej znosił całe pęki konwalij, fijołków, po które na wiosnę umyślnie biegał co ranka do poblizkiego gaju dębowego. Dziewczynka z wdzięcznym uśmiechem odbierała kwiatki, układała z nich bukiet duży, który stawiała na stoliczku przed łóżkiem i robiła maleńki bukiecik dla Owanesa. Chłopak chwytał bukiecik, całował go, kiedy był sam i kładł do maleńkiej flaszeczki napełnionej wodą. Skoro bukiecik więdnąć zaczynał, wyjmował go z wody i chował do szufladki na wieczną pamiątkę.

Nie zdawał sobie sprawy z tego przywiązania serdecznego, jakie miał do jedenastoletniej Helci, czuł jednak, że istnieje nić jakaś, która go z nią wiąże. Dlatego żałował tej Wysoki serdecznie, smutno mu się robiło za każdym razem, skoro tylko pomyślał o wyjeździe do Czerniowic. Zdawało mu się, że zostawia tutaj coś takiego, czego żadną miarą zabraćby z sobą nie potrafił.

Pewnego razu, a było to już w połowie Sierpnia, na kilka dni przed wyjazdem, Owanes i Helcia siedzieli sobie na ławeczce przed gankiem i spoglądali ukradkiem na siebie.

Od niejakiego czasu mniej rozmawiali, więcej przypatrywali się sobie, a skoro mówić zaczynali, to już bez tej żywej, raźnej wesołości dni poprzednich.

W powietrzu była rozlana ta woń ciepłego kończącego się lata, co to owiewając odurza zarazem. Słońce zachodziło pogodnie na dalekim stepowym horyzoncie; ognista jego kula staczała się zwolna na nieskończone przestrzenie skoszonych niw, rzucając skośne pasma rzadkiego światła. Na wschodzie lasek dębowy czerniał zbitą masą drzew i dzielił ogromny step szeroki na dwie połowy.

Do lasku tuliła się wioska mołdawska. Wśród ogrodów większych i mniejszych widać było tu i owdzie białe chaty gliniane. Pośrodku wznosiła się cerkiewka, której cynkowa kopułka błyszczała i mieniła się na słońcu.

W powietrzu było zaciszno, spokojnie. Z daleka dochodziło warczenie lokomobili młócącej zboże, monotonne a nieustanne, i przedzierający się aż tutaj śpiew pracujących wieśniaków.

— Helciu, ja jadę za trzy dni ze Stefkiem — zaczął Owanes.

— Wiem, że to już za trzy dni.

Zajrzeli sobie w oczy, i postrzegli w nich odbijający się smutek.

— Helciu, czy ci tęskno będzie bez Stefka?

— Bez Stefka? Tak, ale więcej bez ciebie.

— Ja wiedziałem o tem, tylko tak się spytałem naumyślnie.

Twarzyczka Helci spłonęła.

— Wiedziałeś — rzekła, — więc pocóż się pytasz?

— A bo chciałem to słyszeć od ciebie.

— I na co ci to?

— Miło mi jest, że mię żałować będziesz, tyś taka dobra była zawsze dla mnie.

— A tyś się tylko jeden ze mną bawić umiał, ty tylko jeden potrafiłeś mnie zająć swoją rozmową.

— Stefek — dodała po chwili, — co tam on, on prędko zapomni o mnie, chociażem jego siostra; znajdzie sobie towarzyszów...

A on ją pytał dalej:

— Powiedz, czy ty o mnie nie zapomnisz, kiedy wyjadę z Wysoki na tak długo, bo pewno z pół roku bez przerwy siedzieć będziemy w tych Czerniowcach.

Uśmiechnęła się dziewczynka smutnie na te słowa i rzekła:

— Jakże mogę o tobie zapomnieć, kiedy mam tylko jednego takiego jak ty na myśli.

— I ja ciebie jedną tylko mam w sobie.

— Ale jak ty tam wrócisz z tych szkół dalekich, to może się ze mną nie będziesz chciał bawić ani rozmawiać? — Zapytała ze smutkiem w głosie.

— O, nie bój się, ja tobie nigdy nie zapomnę tej dobroci, jakąś mi tyle razy okazywała. Ja

zawsze będę o tobie pamiętać, będę myśleć o tobie, choćbym był mądrzejszym aniżeli teraz.

Zatrzymał się a potem dodał:

— Wiesz, ja się bardzo uczyć będę, żeby się twój tatko nie pomylił na mnie, będę całymi dniami siedział nad książką, i zostanę mądrym, bardzo mądrym, bogatym, bardzo bogatym, bo tylko mądry może być bardzo bogatym. Ale to wszystko jedno, choćbym był najmędrszym i najbogatszym, zawsze tybyś u mnie była na pierwszem miejscu.

I na bronzowej jego twarzyczce zawitał odcień dumy i zapału, a w jej oczach szarych błysły płomyczki podziwu.

Nastąpił dzień wyjazdu.

Rano zajechały szarabany po rzeczy. Zaczęto ładować wszystko, co tylko było potrzebne; o niczem nie zapomniano. Poczciwa pani Kajetanowa od dwóch dni szykowała wyprawę dla obu chłopców, przyglądając się każdej sztuce bielizny i ubraniu po kilka razy. Na samą żywność w czasie podróży, która mogła trwać zaledwie ośm godzin, naszykowano kosz duży, w którym zapakowano kurcząt pieczonych, serów, ciast co najmniej na tydzień czasu.

Po obfitem śniadaniu, którem zastawiono stół, a na które obaj chłopcy ledwie patrzeć mogli, zaczęto się żegnać. Stefek udający dotychczas zucha pocichu szlochał, a Owanes, choć mu się łzy kręciły w oczach, zacisnął zęby, chciał udać mężnego i rezolutnego.

Pocałował panią Kajetanową w rękę, pana Kajetana także, a Helci szepnąwszy: „Nie zapomnij i pamiętaj o mnie," pierwszy wskoczył na brykę. Potem usadowił się Stefek z załzawionemi oczyma.

Rozległo się głośne: „Bądźcie zdrowi!"

Wasyl trzasnął trzykrotnie z bicza i bryka potoczyła się po Otockiej drodze.

Chłopcy zostali umieszczeni na najlepszej stancyi, u jednego z profesorów gimnazyalnych i oddani pod szczególną opiekę pani profesorowej, starej, lecz jeszcze żwawej kobiety. Obaj zostali przyjęci do drugiej klasy i obaj zaczęli życie swoje wśród nowych warunków. Stefek pomimo ciągłych napomnień pana profesora i pani profesorowej, niechętnie brał się do książki. Zdarzało się, że całymi dniami przesiadywał nad rozłożoną gramatyką, nie mogąc nic władować sobie do głowy. Gdyby go zostawiono samemu sobie z pewnością lekcyi by nigdy nie wydał dzięki jedynie sumiennej korepetycyi swojego opiekuna posuwał się naprzód i chcąc nie chcąc musiał się czegoś nauczyć.

Owanes przeciwnie, zaciął się po ormiańsku, nie wstał od książki, od kajetu, póki swego nie odrobił. Mogło się palić nad jego głową, on nie ruszył się ze swego miejsca. Co tylko mógł robił, byle być pierwszym, byle iść naprzód. Szło mu też jak po maśle. Nie tyle był lubiany, bo unikał zabawy i gry z towarzyszami, ile ceniony za swoją pilność. Często też powtarzali mu nauczyciele, że zajdzie daleko, a innym stawiali go za wzór pracowitości.

Stefek mu zazdrościł z początku, był nawet czas, kiedy mu się starał dorównać, więc przysiadywał więcej nad zadanemi lekcyami, ale potem dał pokój; wyrozumował sobie, że to wszystko napróżno.

— Ja tam tego ślęczenia nie potrzebuję — myślał, — po co mi to? i tak będę miał z czego żyć, inni, wójkowie i stryjkowie nie pokończyli szkół, a są panami w Bessarabii. Owanes, on musi się uczyć, bo inaczej niczem nie zostanie.

Nie lubił też swojego towarzysza, zazdrościł mu tych pochwał a ciągłe stawianie mu dawnego ormiańczyka brudnego za przykład dla siebie, drażniło go. Często też mu dociął i czem mógł dogryzał. Owanes zacisnąwszy zęby znosił cierpliwie to wszystko, niekiedy tylko nienawistnym błyskiem oczu zdradzał swoje wzburzenie. Kiedy Stefek tę skrę nagłą pochwycił zaczynał się śmiać złośliwie; był to najpewniejszy sposób podrażnienia towarzysza, a lubił go drażnić. Prawdziwą czuł przyjemność wówczas.

Ohana jednak unikał wszelkiej sprzeczki ze Stefkiem, chociaż mały, rozumiał swoją zależność od Bohdanowiczów, wiedział, że przez popędliwość mógłby zwichnąć los swój i karyerę, zresztą stawała mu przed oczyma mała czarnowłosa Helcia i rozbrajała gniew jego. A nie zapomniał jej, miał ją zawsze w pamięci, pamiętał każde jej słowo, każdy gest, tak się już przyzwyczaił do myśli o tem stepowem dziewczęciu, iż wolny i z prawdziwą rozkoszą przypominał sobie rozmowy dziecinne, jakie z nią prowadził. Prawie w każdym liście pisanym przez pana Kajetana do Stefka znajdowała się kartka od Helci, która starannem drobnem pismem opowiadała bratu o nauce z panną Dorotą, o swej zabawie, o swej tęsknocie, jaką czuje za nimi, i prosiła, ażeby dał to do przeczytania Owanesowi, któremu nigdy nie zapominała przesłać serdecznego pozdrowienia.

Wielką były przyjemnością dla małego Owanesa te listy, które sobie wypraszał od Stefka, żądającego zwykle za to pomocy przy opracowaniu ćwiczeń matematycznych.

Czytał je po kilka razy i uśmiechał się; miło mu bardzo było, że Helcia nie zapomniała o nim. Wkładał też niekiedy do listów Stefka małą po ormiańsku pisaną kartkę, adresowaną na jej imię. I radował się na samą myśl, że to ona będzie czytać, że będzie potrzebowała długo czytać, zanim się domyśli sensu: przecież musiała chyba zapomnieć tę trochę ormiańszczyzny, którą udało mu się w nią wpoić.

Z prawdziwą zawsze uciechą witał pana Kajetana, który ich przyjeżdżał zabierać na każde ferye do Wysoki.

Pierwsze wakacye Owanes spędził jak za lat poprzednich. Helcia była prawie taką samą dziewczynką, jak przed rokiem, panna Dorota taką samą zgryźliwą nauczycielką, pan Kajetan i pani Kajetanowa jak dawniej krzątali się po odaji. Jednem słowem nic się w trybie spokojnym życia domowego nie zmieniło.

Powrócono do tych samych zabaw: do piłki, krokieta, gonienia się po ogrodzie. Jak przed rokiem Owanes gawędził sobie z Helunią pod rozłożystemi gałęźmi alej akacyowych w ogrodzie; jak przed rokiem śmiali się ze swej konwersacyi ormiańskiej, jak przed rokiem wpatrywali się w siebie.

Helcia kończyła trzynasty rok, panna Dorota już całą mądrość swą przelała w śliczną główkę pojętnej uczennicy, panience więc trzeba było dać jakieś wyższe wykształcenie, zrozumiał to pan Kajetan i dlatego zdołał namówił żonę do odesłania córki na pensyę pani Dubois, najwięcej naówczas renomowaną w Odessie.

Lubo Helci przykro było wyjeżdżać z rodzicielskiego domu, jednakże i ją ciągnął ten barwny świat daleki — a wszystko co było po za Otuhami i Mohilowem, zdało jej się bardzo odległem — więc też prędko oswoiła się z myślą opuszczenia odaji. Zresztą chciała dorównać chłopcom, co też tam daleko, za granicą się uczyli, i posiąść choć trochę tej wiedzy, której przedsmak poznała z mowy Owanesa.

I pojechała Helcia do Odessy w tym prawie czasie, kiedy Stefek z Ohaną wracał do szkół czerniowieckich. Odtąd dziewczynka pisała już listy sama w jednej kopercie do obu chłopców; ormiańszczyzna rzadziej się w nich trafiała i to coraz marniejsza, niby wspomnienie słabe dziecięcego tchnienia. Stefkowi opowiadała w nich o swych przygodach na pensyi, znajomościach, koleżankach, a Owanesowi przesyłała wrażenia szkolne tak, jak się one jej układały w sercu i umyśle niewinnym.

Ciekawy też był Owanes zobaczyć tą pannę odeską, jak ją nazywał w swych myślach, czy się zmieniła i jak... Tego nawet przed sobą samym nie mówił, że go ta Odessa i jej wpływ na dziewczynę niepokoił; określić nie potrafiłby, co to było za uczucie, które nim od czasu do czasu wstrząsało. Czuł tylko ten niepokój, jakiego doświadcza bogacz, kiedy wyjechawszy zostawia na pastwę losu całą swą kasę naładowaną pieniędzmi. Helcia była dla niego tą kasą, obawiał się zatem, ażeby mu jej kto nie zabrał — a te wzmianki w listach o jakichś znajomościach nowych, o jakichś kuzynach dalekich, o jakichś młodych a mądrych profesorach, gryzły go i gnębiły czasami. Nie umiał się z nich otrząsnąć.

Ztąd, kiedy się znowu w lecie spotkali razem na odaji Wysockiej i zeszli w alei akacyowej stepowego ogrodu, pierwszą ich myślą było skontrolować się wzajemnie. Bezwiednie więc wszczęli tę rozmowę, co to niby obojętna i zwyczajna odzwierciadlała stan ich duszy i istoty całej. Poznali się, że byli ci sami i wiele im przybyło, wiele rozwinęło się w nich, ale grunt pozostał ten sam. Byli dla siebie dobrzy, czuli i szczerzy; rozumieli się i dopełniali wzajemnie.

— Powiedz mi, Owanes, czy ja się zmieniłam w Odessie? Mama mówi, żem wyrosła, tata, żem wyładniała, a ty?

Pytała go zalotnie, patrząc mu w oczy.

A on spojrzawszy na jej krótką pensyonarską sukienkę granatową, na puszczony wolno warkocz gruby czarnych jak smoła włosów, na śmiejące się urocze usteczka i oczy błyszczące szczęściem i zadowoleniem, odpowiał:

— Tyś zawsze ta sama, tyś się zmieniła, ale na tę samą co dawniej.

— Jakto na tę samą? — i śmiała się dźwięcznie, jak dzwonek.

— Bo ty dla mnie się nie zmieniasz, ja cię zawsze widzę tą samą, może wyższą, zgrabniejszą, większą, ale tą samą.

Popatrzeli na siebie w zamyśleniu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Luźne kartki z Węgier.

(Ciąg dalszy)

VI.

Muzyka, teatr i sztuka Węgrów.

Mówią i piszą Węgrzy, iż już ich praojcowie, którzy zalali pod wodzą Arpada starą Panonię, odznaczali się niezwykłem uzdolnieniem muzycznem, ale Węgrzy odkryli w sobie z okazyi tysiącolecia wszystkie możliwe talenta.

Wiadomo z kronik, że modłom pogańskich kapłanów madziarskich wtórowały pienia ludu, a na uroczystościach rodzinnych i narodowych popisywali się grajkowie. W boju podniecała odwagę Hunnów i Ugrów muzyka wojenna, podczas pokoju wędrowali lutniści od osady do osady, zabawiając śpiewem i powieścią odpoczywających rycerzów.

I gdyby takie początki muzyki miały świadczyć o niezwykłem uzdolnieniu muzykalnem, toby się wszystkie narody mogły porównać z Włochami, wszystkie bowiem mają w najodleglejszej przeszłości swoje pieśni religijne, obrzędowe i wojenne. Nawet ludy najdziksze chwalą swoich bogów pieniami i zagrzewają się podczas boju śpiewem.

Z wielką szkodą dla współczesnych muzyków węgierskich nie przechowała się ani jedna melodya Hunnów i Madziarów. Wszystkie pieśni tych ludów koczowniczych zginęły bez śladu, usunięte przez chrześciaństwo, które wniosło razem z nową wiarą nowe pieśni i obrzędy.

Śpiew gregoryański zastąpił dawne pienia pogańskie, jak u wszystkich nawróconych narodów. Uczyli go głównie tak samo, jak u nas, duchowni włoscy w licznych szkołach klasztornych, założonych przez św. Stefana.

Hołdując zwyczajom swojego czasu, otaczali się królowie węgierscy wieków średnich słynnymi poetami i muzykami. Na dworze Zygmunta przebywał czas dłuższy głośny kapelmistrz, Jerzy Stolzer; dwór Macieja uświetnił swoją osobą niderlandski kompozytor, Jan Tinctor, nauczyciel królowej Beatrycy. Głównie król Maciej, mecenas sztuki i nauki, lubił muzykę. Utrzymywał on chór śpiewaków i trębaczów, których ściągał z całej Europy.

Co się powszechnie muzyką węgierską nazywa, jest właściwie muzyką cygańską. Cyganie, przywędrowawszy do Węgier w XV stuleciu, zalali kraj wielkiem mnóstwem wędrownych grajków. Oni są autorami i najlepszymi wykonawcami owych czardaszów, które zachwycają cały świat. Oni też roznoszą sławę muzyki węgierskiej po Europie, wędrując od miasta do miasta. Z ich łona wyszedł znakomity lutnista i skrzypek, Dominik Karman, niezapomniany dotąd w historyi muzyki. Oni wydali Michała Barnę, zwanego węgierskim Orfeuszem, Czinkę Taubę i Jana Bihari, którego koncerty odwiedzał z przyjemnością wielki Beethoven.

Wiadomo, że współczesne kapele cygańskie jeżdżą nie tylko po Europie. Grają one od pewnego czasu i w Ameryce i w Azyi, zbierając wszędzie oklaski i złoto. Cyganie wypłacili się Węgrom sowicie za gościnność.

Jak we wszystkich kierunkach, wzmogli się Węgrzy i w muzyce dopiero w stuleciu bieżącem. Jan Nepomucen Hummel i Franciszek Liszt, dwaj znakomici pianiści, wsławili imię węgierskie po całym świecie. Nie zapomniał im tego naród, bo poświęcił ich portretom, rękopisom i pamiątkom w budapeszteńskiem muzeum osobną salę.

Twórcą narodowej opery węgierskiej jest Franciszek Erkel, zmarły temu lat trzy (w r 1893). Napisał on „Maryą Batory" (1840 r.). „Władysława Hunyadi" (1844), „Bank Bana" (1860), „Savoltę" (1862), „Jerzego Dozsę" (1867), „Jerzego Brankowicza" (1874), „Bezimiennych Bohaterów" (1880), „Króla Stefana" (1885) i cały szereg uwertur, symfonii, marszów.

I Karol Goldmark, znany współczesny kompozytor, pochodzi z Węgier.

Oprócz Erkela i Goldmarka zasłużyli się na polu muzyki dramatycznej: Karol Thern, autor „Gizuli" i „Oblężenia Thihany," — Karol Huber, który uprawia muzę komiczną, i Edmund Mihałovich.

Cały szereg wirtuozów, zajmujących w różnych krajach wybitne stanowiska, należy do narodowości węgierskiej, Węgrem jest słynny skrzypek, Józef Joachim, dyrektor berlińskiej Akademii muzycznej, Węgrami są Edward Remenyi i Leopold Auer, dyrektorowie konserwatoryum petersburskiego, Edmund Singer, nadworny kapelmistrz w Sztuttgardzie, Rafał Josephi, dyrektor szkoły muzycznej w Nowym Jorku, wiedeński Jan Richter i berliński Sucher. I słynnych śpiewaków i śpiewaczek dostarczyły współczesne Węgry Europie.

Do narodowości madziarskiej przyznają się panie: Mainville, Schodel, Ludwika Liebhardt, Kornelia Holossy, Róża Osillag, Ida Benza i w. i.

W roku 1875 założono w Budapeszcie Akademię muzyczną, na której czele postawiono Franciszka Liszta i Franciszka Erkela. Oprócz Akademii istnieje w stolicy Węgier kilka drugorzędnych instytucyi muzycznych, rządowych i prywatnych.

Jak cała literatura i sztuka węgierska był i teatr węgierski przez długi czas tylko echem teatru Europy zachodniej. Ulegając różnym wpływom, to niemieckim, to francuzkim, nie popierany przez władzę ani społeczeństwo, tułał się po miastach i miasteczkach, po dworach i pałacach, wędrując od komina do komina.

Pierwszą stałą scenę zawdzięczają Węgrzy hr. Szechenyi'emu, którego geniusz ogarniał wszystkie pola rozwoju narodowego. Za jego to przyczyną wystawił komitat peszteński w Peszcie przybytek dla Talii i Melpomeny, i ściągnął do niego wybitniejsze siły aktorskie z całego kraju. Teatr ten, założony w roku 1837, wyniosła następnie uchwała parlamentu do godności „Teatru Narodowego." Występowali w nim i występują: znakomity komik, Karol Megyeri, najlepszy węgierski przedstawiciel typów szekspirowskich, Gabryel Egressi, płomienny kochanek, Marcin Lendvay, pierwszorzędny aktor do ról charakterystycznych, Józef Toth, i znakomita deklamatorka, pani Jokai.

Pierwszym węgierskim autorem dramatycznym w szerszym stylu, był Karol Kisfaludy, zrazu awanturnik, przerzucający się bezustannie z fachu do fachu — student, oficer, aktor, malarz, włóczęga — następnie chluba sceny węgierskiej. Uprawiał on dramat historyczny, za którego pomocą przypomniał narodowi swojemu główne momenty zmiennej przeszłości. Jego „Tatarzy w Węgrzech," wystawieni w Peszcie w r. 1819, zjednali mu od razu uznanie całego kraju, i postawili go na czele autorów scenicznych Węgier.

Kisfaludy, wykształcony na wzorach francuzkich, był znakomitym technikiem teatralnym, i umiał przemawiać do swoich ziomków słowem gorącem. Był on szczerym patryotą, jak wszyscy autorowie węgierscy pierwszej połowy bieżącego stulecia. Szlachcic z pochodzenia i z temperamentu, odtwarzał najlepiej sceny i charaktery rycerskie.

Przyczynił on się dużo do rozbudzenia świadomości narodowej rasy madziarskiej.

Po śmierci Kisfaludy'ego zajął jego miejsce Edward Szigligeti, pisarz nadzwyczaj płodny, ulubieniec publiczności węgierskiej przez lat trzydzieści. I Szigligeti uprawiał z początku dramat historyczny, wprowadzając do niego fantastyczne pierwiastki romantyzmu niemieckiego.

Dopiero po dłuższej wprawie otrząsnął się z obcych wpływów, i zwrócił się do komedyi, odpowiadającej lepiej jego talentowi. Jego farsa „Liliomfi" nie schodzi dotąd z repertuaru, zawsze świeża i wesoła. Jak Kisfaludy, stworzył i Szigligeti bogatą galeryę narodowych typów węgierskich, lecz nie czerpał ich z sfer szlacheckich. Kopalnią jego pomysłów i charakterów był głównie lud.

Edward Szigligeti zasłużył się dla teatru madziarskiego jako twórca sztuki ludowej, ilustrowanej muzyką. Rodzaj ten odgrywa w życiu węgierskiem bardzo wybitną rolę. Nie sam tylko gmin przysłuchuje się w Peszcie chętnie płodom muzy popularnej. Na sztukach ludowych bawi się także inteligencya.

Najwybitniejsze siły aktorskie Węgier biorą bez oporu i fałszywego wstydu udział w uroczystościach narodowych. Na placu wystawy grają i śpiewają pod gołem niebem dla ludu pierwszorzędni artyści teatrów rządowych.

Sztuki ludowe Szigligetiego („Szökött Katona," „Csikos," „Matyas Diak," „Banyarem," „Liliomfi" i w. i.), zachwycają bez zmiany ludność Budapesztu. Czas przeszedł po nich bez śladu. Muzykę do nich dorobił Józef Szerdahelyi, który wyzyskał umiejętnie wszystkie więcej znane pieśni i tańce ludowe.

Węgierska sztuka ludowa przyczyniła się bardzo dużo do zapoznania Europy z muzyką węgierską, wydawcy bowiem budapeszteńscy rozrzucali jej lepsze pieśni w tysiącach egzemplarzów po całym świecie. Wielu znakomitych muzyków przyswoiło sobie i przerabiało ludowe motywa węgierskie. Ze źródła tego czerpali już: Józef Haydn, Ludwig Beethoven, Franciszek Szubert i Karol Maria Weber. Czerpali z niego później Hektor Berlioz (transkrypcya marsza Rakoczy'ego), Robert Volkmann („Szkice węgierskie"), Jan Brahms („Tańce węgierskie," „Pieśni cygańskie"), Henryk Bülow („Marsz heroiczny"), Juliusz Massenet („Marsz węgierski"), Piotr Mascagni (w „Przyjacielu Frycu"), Leo Deslibes w balecie („Cappelia"), Thalberg, Vilmers, Rubinstein, Sarasate i w. i. mniej znanych mistrzów muzyki.

Więcej aniżeli inne płody geniuszu rasy madziarskiej, rozniosła skromna sztuka ludowa sławę imienia węgierskiego po Europie.

Nie tak pomyślnie, jak plon muzyczny, przedstawia się sztuka plastyczna Węgier. Aż do początku bieżącego stulecia posługiwali się Madziarowie w tym kierunku prawie tylko pracą Europy zachodniej. Ich zamki i kościoły stawiali architekci włoscy, francuscy i niemieccy, ich domy i świątynie ozdabiali malarze i rzeźbiarze cudzoziemscy. Nadomiar zostało bardzo mało z pamiątek artystycznych czasów ubiegłych. Ciągłe wojny zniszczyły trud pokoju.

Wprawdzie mieli Węgrzy już w XVII wieku swoich własnych malarzów, Jana Kupeczky'ego i Adama Manyoky'ego, ale obydwaj ci artyści nie kształcili się w kraju i nie pracowali dla swoich ziomków. Jan Kupeczky mieszkał lat 22 w Rzymie, zkąd przeniósł się do Norymbergi, gdzie umarł. Adam Manyoky wychowany w Niemczech, przepędzał znaczną część życia w Warszawie, na dworze Augusta II, a umarł w Dreznie.

Sztuka węgierska liczy zaledwo lat kilkadziesiąt. Wykwitła ona z ogólnego rozbudzenia narodowego, z namiętnego pragnienia dorównania Europie Zachodniej.

Madziarowie nie zrównali się wprawdzie dotąd ani z Francyą, Włochami i Niemcami, ani nawet z nami, ale mają już swoje szkoły i akademie i kilku znakomitysh artystów, znanych całemu światu cywilizowanemu. Michał Zichy, Michał Munkaczy, Arpad Feszty i w. i. zwracają na siebie uwagę na wszystkich wystawach europejskich. Jak wszystko, rozwija się i malarstwo w Węgrzech z chorobliwym pośpiechem.

T. J. Choiński.

Listy pani Roland.

Z krwawej mgły wspomnień, unoszącej się nad potężnem wstrząśnieniem dziejowem, zwanem *wielką rewolucyą*, obok posępnych twarzy „tytanów południa," tragicznych burzycieli ówczesnego ustroju społecznego, występuje kilka bardzo niepospolitych postaci kobiecych. Jedno z pierwszych miejsc w szeregu owych niewiast, którym tragiczność losów i bohaterska moc ducha zapewniły miejsce na kartach historyi, zajmuje Marya Roland.

Zbyt głośnem jest to imię, byśmy wam, czytelniczki nasze, przypominać mieli, kim była, i w jaki sposób zakończyła życie owa *Egerya Żyrondystów*, jak ją nazywano w kołach zarówno przyjaciół jak i przeciwników politycznych. Każdy podręcznik historyi pouczy was o tem. Wolimy raczej zwrócić uwagę waszą na rozwój tej niezwykłej indywidualności kobiecej.

Czy może być coś bardziej zajmującego nad badanie młodości ludzi sławnych, przypatrywanie się postaciom ich wówczas, gdy ginęli jeszcze w tłumie nieznani, nieprzeczuwani przez otoczenie najbliższe?

Co do nas, ile razy spotkamy się z takiem nazwiskiem jak Roland np., tyle razy myśl ciekawa zwraca się ku dniom jej młodości, radaby poznać ją nie pod gilotyną, nie wtedy, gdy była duszą jednego z najradykalniejszych stronnictw rewolucyjnych, ale kiedyś, kiedyś, w zaraniu jej życia.

Sposobność ku temu nasuwa w części przynajmniej, wydana świeżo w Paryżu książka „Le mariage de M-me Roland — par A. Join Lambert." Pod tytułem tym wydał autor 112 listów Maryi Phlipon z epoki, poprzedzającej małżeństwo jej z późniejszym ministrem Ludwika XVI, i zbiór ten zaopatrzył w liczne notaty i objaśnienia.

Książka ta pokazuje nam młodą dziewczynę o duszy namiętnej, umyśle żywym i bogatym, o wyobraźni gorącej, duszącą się w ciasnocie małomieszczańskiego otoczenia, w dusznej atmosferze, poprzedzającej godzinę strasznej burzy.

Córka niezamożnego rytownika z ulicy *de la Lanterne*, wychowana w klasztorze, otrzymała wykształcenie wyższe, niżeli inne dziewczęta jej sfery. Po powrocie do domu nie znajdując zadowolenia w zajęciach codziennych i pospolitych rozrywkach, które jej ofiarowywano, z namiętnością rzuciła się do czytania. Czytała wiele, bez wyboru, chciwie chłonąc w siebie wszystkie burzliwe idee wieku.

Nadzwyczajne zdolności pozwalały jej przyswajać sobie z łatwością wszystko, co w książkach czytanych znajdowała.

Już w ósmym roku życia zamiast książki do nabożeństwa zabierała do kościoła Plutarcha. Plutarch „urobił w niej duszę republikanki." Dzieła historyczne przez czas pewien stanowiły ulubioną jej lekturę. W dziewiętnastym roku życia przesyciła się już jednak niemi. W dziejach ludzkości widzi powtarzające się wciąż sceny jednej i tej samej tragikomedyi.

„Czytam teraz Maupertuis — pisze do przyjaciółek, koleżanek z pensyi klasztornej, panien Zofii i Henryki Cannet — jestem wśród astronomii, fizyki, geometryi; zajmuje mnie to niesłychanie." Ruchliwy umysł jej zwraca się w coraz to innym kierunku. Uskarża się też na swą „wyobraźnię nienasyconą, której potrzeba ciągle dostarczać świeżego pokarmu, i to pokarmu nieladajakiej wartości." Szyderski, zimny Voltaire nie ma w niej zwolenniczki. Wyraża się o nim niemal z pogardą. Za to Jean Jacques Rousseau jest jej bożyszczem.

Z tych wszystkich książek jednak dusza Maryi nie czerpie spokoju, raczej podnietę do niezadowoleń i buntów, które w niej wzbierają. „Jestem jak te zwierzęta przywiezione z pustyni i zamknięte w naszych menażeryach — skarży się. — Umysł mój i serce spotykają ze wszystkich stron żelazne szranki przesądów. Wszystkie siły wyczerpuję na targanie daremne mych łańcuchów."

Otoczenie, w którem żyć musi, świat małych kupców i rzemieślników razi ją. Zbyt daleko wybiegła umysłem po nad pojęcia tych ludzi. Zamyka się w sobie, odurza marzeniami o szczęściu ludzkości. Wyobraźnia jej znosi granice pomiędzy ludami. „Aleksander Wielki pragnął, by istniały inne światy po to, by mógł je zdobywać, ja pragnęłabym także, aby istniały dlatego, żebym je kochać mogła."

Wśród bezbarwnego, jednostajnego życia jedyne urozmaicenie stanowi jakaś wycieczka za miasto, niekiedy do Wersalu. Tam w duszy Maryi rodzi się oburzenie na widok „azyatyckiego zbytku naszych królów."

Ją samą zdumiewają uczucia gwałtownej nienawiści i gniewu, które odkrywa w sobie, tam, wobec tych pałaców, tych wodotrysków, tego blasku, z którym zdaje się, nic na świecie w porównanie iść nie może. Lęka się niemal gwałtowności własnej. „Znam mój charakter — pisze — i wiem, że mógłby stać się bardzo szkodliwym i dla mnie i dla państwa, gdyby los umieścił mnie gdzieś, blizko tronu." Jest to dla niej chwila jasnowidzenia przyszłości.

Czyż nie zajmujące to widowisko, ta dusza młodziencza o zakroju bohaterskim, nie pozbawiona pierwiastków lirycznych i romantycznych, w przededniu wielkiego pożaru, taka niespokojna, czuwająca, pełna oczekiwań i gróźb tajemniczych?

Ze sfery, którą przerosła umysłem, pragnieniami, ambicyą, faktycznie wydobyć ją mogło tylko małżeństwo. To też gdy w osobie Rolanda zjawił się aspirant ze świata intelligencyi, Marya z gwałtownością właściwą jej temperamentowi zaczęła pragnąć tego związku.

Jakkolwiek w pamiętnikach pisanych w *Abbaye* zapewnia pani Roland, że małżeństwo to zawarła tylko pod naciskiem okoliczności, listy jej do narzeczonego dowodzą, że związek ten był ulubionem jej marzeniem, i że jeżeli nie kochała tego człowieka, to miała pełne złudzenie, że go kocha. Po dwunastu latach małżeńskiego pożycia złudzenie to rozwiało się zapewne, a nawet i stanu duszy własnej z epoki przedślubnej nie przypominała sobie widać uwięziona. Czytając te listy dziwić się nieraz potrzeba, że takie gorące, szczerej namiętności pełne wyrazy, kobieta ta zwraca do człowieka o duszy oschłej i zimnej, o powierzchowności bynajmniej nie ujmującej, zaniedbanej i pospolitej. Dla Rolanda mimo wyobrażeń postępowych małżeństwo z córką rzemieślnika było bądź co bądź mezaliansem. Pociągała go urodą, imponowała mu niezwykłemi zdolnościami, wymową, przerażała jednak gwałtownością uczuć. Czuł się wobec niej małym i lichym. „Wyznaję — pisze do niej w którymś z listów, — że nie umiem z taką jak ty gwałtownością przerzucać się jednej ostateczności do drugiej."

Była chwila, że Roland pragnąc wycofać się z gry, tłómaczył się przed Maryą i jej ojcem brakiem zezwolenia ze strony swych rodziców. Niesmacznym stylem XVIII wieku pisze:

„Utożsamiony z nimi przez naturę, czyż mogę rozporządzać częścią ich bez ich współudziału?!"

Widząc, że narzeczony myśli o zerwaniu, Marya wpadła w rozpacz. Zamknęła się w klasztorze, u sióstr „de la Congregation" na przedmieściu Saint Marcel. „Dusza moja uwiędła, zamknięta. Nie czuję już nic" — pisała ztamtąd do Rolanda.

To poskutkowało. Namiętność ożyła. Z za kraty klasztornej wydobył ją ostygły niedawno wielbiciel, i mało dobrane małżeństwo po paru latach niepewności skojarzone nareszcie zostało.

Wracając jeszcze do listów do przyjaciółek, w których najwięcej rysów charakteryzujących Maryę Roland znaleźć można, spotykamy w jednym z nich ciekawe zapatrywanie na kobietę. „Gdyby było prawdą, że nie jeden raz żyjemy na tej ziemi, i że formę bytu naszego obierać nam wolno, nie byłabym nigdy zgodziła się na należenie do płci słabej i niedołężnej. Wprawdzie zdaje się, że kobiety zdolne są do wzruszeń silnych, które stanowią wielkość duszy, bohaterstwo (historya zresztą daje nam na to dowody), ale na dzisiaj to wszystko jest bezużyteczne."

Na parę lat przed zamążpójściem pisze: „W małżeństwie miłość wydaje mi się rzeczą

zbyteczną, wystarcza przyjaźń oparta na wzajemnym szacunku i wspólności przekonań." Matką pragnęłaby być pod warunkiem jednak, że będzie „Kornelią, matką Grachów." Zawód bolesny spotkał ją pod tym względem.

„Mam córkę miłą i dobrą — czytamy w jej pamiętnikach — ale dusza jej chłodna, umysł ociężały, nie dadzą nigdy sercu memu tych radości, których się spodziewało."

Na tem kończymy sprawozdanie nasze, odsełając tych, których zaciekawiły wyjątki z listów M. Roland do książki p. Join Lambert.

F.

St. Ariel.

UŁUDY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy).

— Hubicz nie żyje! Nie żyje?! — wołała Felicya, wracając nazajutrz o zmroku od drzwi jego pustego mieszkania.

Rankiem zajrzeć tu nie mogła, bo taką pilną miała przy sobocie robotę, a woreczek pusty; chciała ukończyć, odebrać pieniądze. Wieczorem zaś cóż zastała?!... Nawet zwłok jego już w izdebce nie ma! Boże! Czyż to prawda? Czy tak być może? To—prawda?!

Uciekała.

I biegła szybko mimo kulenia, jeno ręką jedną poruszając w powietrzu jak skrzydłem dla pośpiechu i ulgi, a drugą bezwiednie przyciskając pod ramieniem buteleczkę wina, którą choremu niosła. Mknęła — mknęła przed oczy, bez zastanowienia, bez pamięci, gdzie jest, dokąd pędzi, poprostu gnana rozpaczą, jak ptak nagłym, a okropnym przestrachem z ciszy wypłoszony, ślepy, bezprzytomny, pełen tylko rozdzierającego krzyku w sobie, a bólu w sercu.

— I cóż ona zrobiła, nieszczęsna! Pocóż mu ona o małżeństwie Ady powiedziała? Tamta byłaby wyjechała, nie byłby nic wiedział, i nie byłby cierpiał, i tem się dobijał, byłby żył pewnie, cóż ona zrobiła?! A czemuż ona lepiej go nie strzegła, nie pielęgnowała? Czemu po całych dniach usługiwać mu nie mogła? Czyż to okazywała nawet dość serca, by nie czuł się taki opuszczony i samotny?... I cóż z tego, że czasem do świtu za progiem przesiedziała cicho? Czemuż właśnie tej nocy tu nie pozostała? Czemu choć rankiem go nie zobaczyła, choćby już martwym? „Nie żyje — nie żyje!" I cóż ci, Boże, szkodziło jeszcze trochę życia mu darować, lat parę jeszcze! podnieść go, uzdrowić, on taki dobry był i litościwy, a choćby, Panie, tylko przyczynić dni kilka, choćby dzień jeden, by go była zobaczyła, co ci szkodziło, i co ci znaczyło, wielki, mocny, Boże?...

— A w cóż teraz obrócą się jej noce, które nad igłą spędzać przywykła? W co obrócą się te długie, puste dni, to całe długie jej życie? Co ona z niem pocznie? na co jej ono? Ach, Boże?... I po cóż ona będzie co dzień wstawać, i o czem myśleć, tam nad rachunkami i tu w swojej izdebce przy szyciu? A cóż ona będzie kochała?! No! cóż ona będzie jeszcze kochała na świecie?!... Tam już u matki od niej odwykli, tam dwie inne dorastały i pracować mogły. Boże! więc po coś Ty ją zostawił na ziemi? po coś jej oczy jeszcze dnia tego otworzył?!

Tu dopiero łzy potokiem twarz jej zalewać poczęły.

Ale szła dalej. Szła w ulice, które stawały się coraz puściejsze, biedniejsze i coraz ciemniejsze, a od poprzednich odmienne, jakoby nie miejskie, aż w końcu przestrzeń przed nią stała się szersza, otwarta, powiew jął przeciągać chłodny w powietrzu, jakby z dalekich odkrytych równin płynący, a szum stłumiony dolatywał uszu.

Felicya nic nie wiedziała, ani gdzie jest, ani co ją przywiodło tu, gdzie była: czy wspomnienie przechadzek, jakie czasem w niedzielę odbywali w tę stronę razem, by świeżem odetchnąć powietrzem; czy ślepy traf, czy urok spokoju otchłani, tu rozpostartej, a która utulić ją mogła. Nic nie wiedziała. W duszy miała jeden okropny jęk, w oczach tylko mrok, który, zdało jej się, że już wzrok i mózg jej zaćmił na zawsze.

Nie wiedziała nawet, że szła coraz dalej, że szum w uszach jej rósł i rósł, że z przyciszonego szeptu stawał się tępym, jednostajnie warczącym hukiem, który począł ją ogłuszać, ale i pociągać, albowiem poczęła zlewać z nim w jedność swój jęk rozdzierający i swój ból.

Nie zastanawiała się, że w końcu i widziała coraz bliżej wielką, rozlaną przestrzeń, szklistą pomimo nocy, połyskującą gdzieniegdzie odbiciem żółtych świateł latarni, a przestrzeń ta istotnie była powierzchnią otchłani, która trwa wieki, niczemu się nie dziwi, przeciw niczemu nie burzy, wszystko przyjmuje, i wszystkie ofiary jednakiem milczeniem przykrywa.

Jakoż po chwili, gdy serce biednej dziewczyny już cierpieć przestało, jak drobny kamyk spadłszy na dno tej przepaści — powierzchnia wód była równie jak przedtem spokojna, gładka, jeno zlekka sfalowana od wiekuistego ruchu, co jej daje trwanie, na krańcach zaś wydawała się w jedność zlaną z niebem, które tej nocy było posępne i ciemne, jak gdyby istnieć przestało nad obszarem ziemi.

XVIII.

Był to już Wrzesień.

Ada przebywała w Monachium. Trzy miesiące zwłoki, jakie początkowo zdołała u Janusza wyjednać, przedłużyła potem na sześć i na siedm, wyruszywszy zagranicę po krótkim pobycie na wsi u państwa Zdzisławów Keniowskich.

Oroński tymczasem nie opuszczał Mirowa.

On wogóle postanowień na wiatr nie rzucał, i przyrzeczeń uczynionych przed sobą, czy przed ludźmi, zwykł był dotrzymywać, krom tego jednego względem pierwszej narzeczonej, które coprawda rozwiązywał też zgodnie ze swemi pojęciami o uczciwości.

Przez tych kilka miesięcy strzegł dobra swego niedoszłego teścia, jak własnego, jeszcze lepiej, jakby nie majątku, ale oczu swoich w głowie, i z miejsca nie ruszał.

Pan Roger przebywszy we Włoszech trzy miesiące, odbywał kuracyą letnią w górach, następnie winogronową nad Renem, a być może, w zmowie z żoną, przedłużał tak pobyt na obczyznie ze względu na córkę.

Wszystko już wiedział, i skala własnego cierpienia nad dzieckiem dawała mu miarę jej bólu. Do tego stopnia jednakowoż ulegał wpływowi Maryi, że w stosunkach z Orońskim sprawę tę pokrył najgłębszem milczeniem. Wycofał jedynie wymykające się niekiedy w listach „mój synu" — jak również i poufałe „proszę cię" — ale całą delikatność w korespondencyi zachował.

Po odebraniu każdego sprawozdania z obrotów i dochodów fabrycznych, systematycznie zapytywał Janusza, czy nie chce się uwolnić, i zapewniał go, że bez uszczerbku dla zdrowia przyjechać może, by interesy uregulować.

Z czasem począł wogóle pobłażliwiej sądzić Orońskiego, pokonany przykładem Maryi i jej słowami przypominającemi, że sam od dzieciństwa uczył ją darowywać winy.

Gdy też położenie bez zmiany się przedłużało, pan Roger poczynał w głębi serca żywić nadzieje, że może burza tam przeszumi, czas wszystko wyrówna, zagładzi, i rzeczy powrócą kiedyś do dawnego porządku. A był tej myśli rad, albowiem przenikał ogromne przywiązanie Maryi do narzeczonego właśnie z tej gorliwości w obronie mimo krzywd, sam zaś, po za tem przeniewierstwem serca widział w niedoszłym zięciu człowieka rzadkiej energii, pracy i obowiązkowości.

Oroński tymczasem dlatego się nie zwalniał i nawet urzeczywistnienia swych przedsięwzięć zaniechał, zerwawszy poczynione układy, iż właśnie ustępował woli i żądaniom tej, dla której miłość czyniła go słabym, uległym, pozbawionym wszelkiej odporności woli, jaką zwykle miał.

Ada pisała: „usłuchaj, zaczekaj, powrócę. Twoją będę, tylko jeszcze trochę, jeszcze." — I on prośbom tym, a rozkazom ustępował.

Słabość swą czuł poniekąd, lecz w dobrej wierze przed sobą usprawiedliwiał. — „Nie wyjdzie jej to na złe — myślał. — Pozna więcej świata, ludzi, pozna bezpodstawność swoich artystycznych marzeń (które za pretekst pobytu za granicą jej służyły), rozczaruje się, powróci i będzie silniej kochała! będzie prawdziwie kochała—oceni wartość wiernego serca, bo któż może goręcej odemnie ją miłować, i będzie mnie kochała! Będzie wówczas moja całą duszą nietylko ciałem, zawrze swe pragnienia w obrębie życia, jakie stworzymy razem, niczem zatem te miesiące zwłoki."

I zdało mu się, że istotnie tymi długimi miesiącami wyrzeczenia się, tęsknoty, niepokoju winien okupić i okupi przyszłe wielkie szczęście.

Dla zadowolenia zaś w sobie tego „honorowego" i „uczciwego" człowieka, z przejęciem podejmował zdwojoną pracę, nie dla żadnych zysków osobistych, lecz jedynie dla dobra ludzi, względem których zawinił. Objął dodatkowo nadzór i nad warsztatami fabryki pana Roger, gdzie się wykryły nadużycia, i w nadmiernem zajęciu topiąc czas od rana do wieczora, szukał zapomnienia.

Chwilami bowiem zrywała się w nim okropna burza niepokoju.

Ada podtrzymywała z nim korespondencyą, dobrowolnie zniósłszy nakaz milczenia, by nie pozbawiać się wzruszeń, wywoływanych przez gorące listy. Niejednokrotnie zatem w opisach

swego życia umieszczała szczegóły, które przyprawiały go niemal o szał zazdrości i rozpaczy, przywodząc przed oczy nieoględność jej czynów, i niebezpieczeństwa.

W takich chwilach Janusz byłby też na oślep wszystko rzucał, by lecieć do Monachium. Lecz pierwszy impet jego zawsze rozbijał się o twarde, nieusunione przeszkody realne. A potem, gdy ochłonął, poczynał przypuszczenia swe poczytywać za waryactwo i ową słabość, uwłaczającą równie jego męzkiej godności, jak i zaufaniu w niej pokładanemu.

Wiedział, że Ada nie stanowiła wyjątku w Monachium jako młoda panna, piękna, a sama. Nie była tam zresztą pozbawioną pewnej opieki i towarzystwa, ponieważ zamieszkała w domu, gdzie poprzednio już osiadło kilka współrodaczek. W tych liczbie znajdowały się nawet dawne uczennice pani Darskiej: Tola, którą „mama" już drugi rok trzymała za granicą dla większego „efektu," i Marta, która znów porzuciła paryską akademię Julien'a, i próbowała „wybicia się" pod kierunkiem niemieckich mistrzów.

Oroński zatem starał się, być konsekwentnym i cierpliwie czekać, skoro na wyjazd jej się zgodził.

Lecz przyszła chwila, w której wszystkie przełożenia okazały się zbyt słabe.

Po miesięcznem milczeniu, którego dowolność Ada z góry zastrzegła, odebrał oto list tak zagadkowy i dziwny, że pogrążył się w zupełnej ciemności; i nic z tej ciemności wycisnąć nie mógł, ani zdolny był w niej dopatrzeć punktu by zahaczyć wzrok i myśl.

Szczęściem, że państwo Roger już byli w drodze z powrotem do domu, i w dni parę stanęli na miejscu. Wtedy Oroński natychmiast złożył księgi i kasę w ręce właściciela, poczem do wagonu siadł i wyruszył.

Gdy znalazł się po za Warszawą, i mógł bez podzielnie oddawać myśl własnym sprawom, począł jeszcze odczytywać ów list bez końca.

I co czuł wyraźnie, to to, że tym razem Ada nie chciała go drażnić, że nie było w niej śmiechu, pustoty, przekory, lecz że była w niej samej noc, posępność i trwoga, coś, co przerażeniem zdejmowało go tak dalece, iż niemal pomijał jedyne bardzo wyraźne słowa: „twoją być już nie mogę."

Pomijał je, a raczej traktował z zapamiętaniem, z zawziętością człowieka, któremu na przykład doktorzy mówią o ukochanej: „umiera" — a który mimo to krzyczy: „porwę za bary wszystko, śmierć samą, a *jej* nie dam, *ją* uratuję."

Dopiero w miarę jak przybliżał się do Monachium, jak dzieliło go już tylko ośm godzin jazdy, już tylko pięć, już trzy, słowa te poczynały wychylać się z oszołomienia w jakiem był, innym dźwiękiem niż zrazu, innem znaczeniem, niż im przypisywał, i urastały w przypuszczenie okropne, tak przerażające, że poprostu krew stygła mu w żyłach, serce bić ustawało.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Warszawa, w Lipcu 1896 r.

I treść i forma kroniki z bruku warszawskiego w porze kanikuły dwumiesięcznej nie jest łatwą dla sprawozdawcy.

Jeśli idzie o treść, to chcąc być wiernym kolorytowi miejscowemu należałoby kronikarzowi być gorzkim jak piołun, cierpkim jak kora młodej wierzby, omdlałym jak roślinność skwerów i ogrodów warszawskich, a monotonnym jak sprawozdania z wystawy hygienicznej w jednem z pism brukowych tutejszych. Kto wam czytelniczki poda z Warszawy w tej porze wiązankę nowin tchnących otuchą, zdradzających pogodę umysłu kronikarza i jego różowe poglądy na sprawy tego świata, ten z pewnością należy do liczby szczęśliwców, którzy świeżo powrócili od morza lub gór i nie zdążyli jeszcze wchłonąć w siebie atmosfery tego płonącego pieca, w jaki przemieniło się nasze miasto, albo jeśli ztamtąd nie powrócił, to jest on na wyjezdnem samem, i pod wpływem orzeźwiających mirażów, w które jest zapatrzony, odpędza od siebie wszystko co pali, dusi i obezwładnia.

Kto przez Lipiec i Sierpień Warszawy nie opuszczał, ten żadnemi wrażeniami natury dodatniej podzielić się z wami nie zdoła z największą pewnością, i takiemu przez współczucie chociażby, darujcie jego gorzką prawdomówność, bo niewątpliwie los pokutnika przykutego w tej porze do warszawskiego bruku godnym zazdrości nie jest.

Tyle co do treści tej pogadanki, której barwę zgóry zapowiadamy czytelnikom.

Wspomnieliśmy na początku samym i o formie także, ale forma w tym wypadku treści ocalić nie może, a wreszcie forma każda dobra, jak twierdzą czytelnicy kronik tygodniowych i miesięcznych, byle nie chciał kronikarz nastrajać się na ton rzewnego acz doczesnego z czytelnikami pożegnania, a nadewszystko byle nie zabrnął w dyalog z jakąś mityczną interlokutorką, która mówi mu tysiące rzeczy mile łechcących jego kronikarską miłość własną, a które on przyjmuje do wiadomości ze skromnością nie stanowiącą bynajmniej mocnej strony całego świata kronikarzy i sprawozdawców.

A więc skoro zgóry dajemy sobie sami pozwolenie na chmurną treść tej pogadanki, a dla zjednania sobie wyrozumienia sami wykluczamy formę kronik, któremi przepełnione były wszystkie pisma tygodniowe na początku i w środku zeszłego miesiąca, z czyściejszem już sumieniem przystępujemy do specyfikacyi tych przyjemności, które Warszawa rezerwuje swoim najwierniejszym dzieciom przez czas wakacyjnych miesięcy.

O teatrach i teatrzykach mówiliśmy z wami w kronice ostatniej i nie dla tego z pewnością zaznaczyliśmy tam dobitnie nadmierną usłużność recenzentów i wzmiankarzy teatralnych, iżbyśmy sami do tej wyzyskanej rubryki, słowo jeszcze jedno i drugie ku udręczeniu waszemu dorzucić mieli. Nowości w teatrach dużo, sztuki po kilka razy przychodzą na scenę zaledwie, krzesła świecą pustkami, autorowie skarżą się na nieobecność publiczności wyborowej i krytyczniejszej wogóle— oto mniej więcej wszystko, co z tej sfery do zanotowania pozostaje. O nastroju przedsiebierców i artystów nieuważamy za właściwe dodawać objaśnień i komentarzy, bo to już domyślne zupełnie i łatwo zrozumiałe dla każdego.

Upały, upały i upały! Oto wszystko prawie, co się o naszem życiu miejskiem da powiedzieć — oto wykrzykniki, od których rozpoczyna się rozmowa witających się z sobą, a ocierających znojone czoła Warszawian i na których się kończą pożegnania, spieszących na bezsenne noce mieszkańców drugiego i trzeciego piętra, że już o westchnieniach zaludniających poddasza i monsardy przemilczymy tutaj zupełnie.

Dodajmy do tego że miasto skarży się na brak wody do zlewania rozpalonych bruków, że drży co chwila aby mu jakaś rura wodociągowa nie wyrządziła podobnej psoty, jak to miało miejsce u nas w roku zeszłym i że nakoniec ogrodów i skwerów w obrębie murów mało niesłychanie stosunkowo do ilości spragnionych ochłody i orzeźwienia wieczornego. Przybyło wprawdzie terytoryum Wystawy hygienicznej, ale to w rachunek do tej pory branem być nie może, bo raz że jest ono w ścisłem znaczeniu tego słowa *extra muros* położone, dalej że płatne bilety wejścia do przyjnęt dla publiczności zaliczone być nie mogą, a nakoniec, że i sam chłód i cień tego parku przyszłości, na orzeźwienie znużonych upałami roku bieżącego, niczem niestety wpłynąć nie mogą.

Bliższy miasta o wiele park Ujazdowski otwarty będzie dopiero w bieżącym tygodniu, że zaś z dniem każdym wolno się spodziewać ochłodzenia temperatury, więc przyjdzie nam chyba zamieścić te oazę w poczet ulg, z których skorzystają mieszkańcy w roku daj Boże doczekać 1897-ym.

Dotkliwie też, jak się pokazuje, odczuwa Warszawa ten brak ogrodów w miesiącach letnich, skoro ją tak zaalarmowała pogłoska pomieszczenia przyszłego Szpitala Dzieciątka Jezus nie na folwarku Ś-to Krzyzkim, jak dotąd powszechnie mówiono, ale na miejscu dzisiejszej Wystawy hygienicznej, z której sobie obiecywano w przyszłości coś w rodzaju Ogrodu Saskiego nowo zabudowanej dzielnicy. Tem bardziej to jest niepokojącem, że trzywiorstowa przestrzeń dzieląca od siebie te dwa ogrody, jest istotnie niepoślednią przy takiem wyzyskaniu zwłaszcza pod budowę każdego łokcia kwadratowego gruntu w dzielnicy Marszałkowskiej, jakiem za drożyznę placów każą sobie płacić właściciele budujących się kamienic.

Jednem słowem pogadanki o hygienie są dobre, żywotne i pełne otuchy dla tych, którzy się chętnie nadziejom i otuchom wszelkiego rodzaju oddawać radzi, ale spekulacya przez ten czas robi swoje i mocno ufać musi w obrócenie się wszystkiego ku dobremu ten, kto nie już w hygieniczne rozmieszczenie ludności ubogiej, ale choćby średnio zamożnej uwierzyć zechce w bliższej lub dalszej przyszłości. Nie daj Boże, aby się to wszystko na obradach, wzajemnych powinszowaniach dbałości o dobro publiczne, i wydrukowaniu kilkunastu, a choćby i kilkudziesięciu rozpraw i broszur treści hygienicznej zakończyć miało.

Tymczasem w domach natłok ludności od suteren do poddaszy, dzień upalny, wieczory duszne, noce parne, a na dobitkę ogłuszający zgiełk

dzieci przepełniających podwórza, o którym tyle tylko powiedzieć można, że staje się on istotnie tą kroplą przepełniającą w porze letnich miesięcy czarę zniechęcenia i rozpaczy? Każdy człowiek, który nie przeszkadzając swoją osobą nikomu, uwidział sobie, że do jakiej takiej wzajemności ze strony współmieszkańców ma prawa pewne, musi od czasu do czasu rozmyślać o tem, że do wielu kwestyi, o których się mówi i pisze, o które się ludzie spierają, kłócą i wzajemnie sobie złorzeczą, przybyć powinna u nas w jak najkrótszym czasie: kwestya dziecinna.

Tak jest, kwestya dziecinna; nie cofamy bynajmniej tego wyrażenia, które nam znużenie prawdziwe w tej chwili dyktuje. Można sobie zapozywać z regestru nieludzkości, sobkowstwa, egoizmu i czego tam wreszcie zechce ktokolwiek, przeciętnego kamienicznika warszawskiego, który oglądającego mieszkanie zapytuje o ilość dzieci, a w razie jakiejś liczby poważniejszej tego przychowku, oznajmia, że takiemu szczęśliwemu ojcu mieszkaniem służyć nie może.

Można sobie takiego egoistę, potwora, ludożercę, chrzcić tymi wszystkimi epitetami, skoro nam chwilowe oburzenie koniecznie je dyktuje, ale doprawdy godzi się też wejść i w położenie ludzi, którzy dla tych rojowisk krzykliwych a niezmordowanych, uczuć rodzicielskich nie mają, bo mieć nie mogą, ale którzy po pracy dziennej do godzinki wytchnienia wieczornego słuszne roszczą sobie prawa.

Kto się gniewa, komu to ubliża, kogo to gorszy, boli i oburza, niech się zlituje nad sobą i drugimi i próbuje przynajmniej te rozkosze serc rodzicielskich wychowywać na podobieństwo ludzkie. *A. S.*

TO I OWO.

---

* Aeronautyka pomimo ciągłych zapewnień pism specyalnych, nie przestaje jednak być polem niefortunnych prób i pokuszeń.

Oto znowu w ostatnich czasach aeronauta francuzki Capazza, który miał wynaleźć przyrząd zmniejszający do minimum wstrząśnienia przy opadaniu balonu, przekonał się, że od pomysłu do szczęśliwego zastosowania droga dosyć daleka. Capazza wybrał sobie Brukselię do zaprodukowania się ze swojem ulepszeniem i ztamtąd puścił się w podróż napowietrzną w towarzystwie znanego geografa Elizeusza Reclus i adwokata Picard. Zrazu szło wszystko pomyślnie, ale po wzniesieniu się do 700 metrów wysokości, balon najniespodziewaniej zaczął spadać z wielką szybkością, a że przy zupełnej ciszy w atmosferze wzniesiono się w kierunku prawie zupełnie pionowym, więc opadanie ponad miastem przedstawiało nie byle jakie niebezpieczeństwo.

Jakoż potrącono o kopułę teatru i o wieżę ratuszową i tylko dzięki wyrzuceniu całego balastu, a nawet odcięciu lin wzniósł się aerostat do wysokości 1100 metrów i przy lekkim wietrze zboczył w kierunku lasku brukselskiego. Tu jednak nastąpiło ponowne opadanie i tym razem balon uczepił się drzewa, podróżnicy zawiśli ponad ziemią na wyżynie 20 metrów. Po różnych niefortunnych próbach doczekali się nareszcie ratunku zagrożeni, ale z tej imprezy wydobyli Picarda i znakomitego geografa w stanie blizkim uduszenia, co zaś do samego Capazza, ten nie poniósł wprawdzie szwanku na zdrowiu żadnego, ale za to sława jego ulepszenia poszwankowała bardzo i nierychło znajdzie on sobie chyba towarzzszów do nowej podróży.

* Zawziętość uprawiających sport kołowy należy, jak się pokazuje do niezwyczajnych, skoro adepci i adeptki żadnemi przełożeniami odstraszyć się nie dają. Tym razem wystąpiło z ostrzeżeniem pismo lekarskie „Lancet," które w osobnym artykule zapowiada żeńskiej połowie rodzaju ludzkiego zupełną utratę pięknego kształtu ręki na skutek oddawania się kołowym ćwiczeniom. jak się o tem lekarze z codziennej praktyki przekonywają. Wielki wysiłek mięśniowy obu rąk zagraża podobno ich wyglądowi estetycznemu, co stanowić powinno samo przez się niebezpieczeństwo dosyć groźne. Nie można jednak żywić nadziei, żeby się w ten sposób kobietę dzisiejszą zrazić dało, bo jeśli nie może ona uwierzyć w to, iż cały jej wygląd i ruchy na rowerze pod względem wdzięku pozostawiają wiele do życzenia, to już i o piękność ręki nie będzie jej szło prawdopodobnie.

* Wynalazczość Amerykanek jest niezaprzeczenie zdumiewającą, zwłaszcza, gdy komu o smak dobry i sens zdrowy nie bardzo idzie. Dotychczas na przykład uchodziło w starej Europie gwizdanie jako produkcya czysto stajenna, z którą w kredensach i przedpokojach dlatego się już nie popisywano, że miejscowości te zablizko są położone od mieszkań ludzi cywilizowanych, a przynajmniej ludzi odznaczających się pewnym stopniem wychowania i towarzyskiej ogłady.

Panie amerykańskie, jak donoszą pisma niemieckie, postanowiły w ostatnich czasach wprowadzić u siebie ten rodzaj muzyki, i to nie na dnie powszednie, ale owszem z okazyi wyjątkowych uroczystości i festynów familijnych. Oto właśnie pewnej miss w Nowym Jorku marsza weselnego odgwizdało 12 jej przyjaciółek ku zupełnemu zadowoleniu zgromadzonych, którzy uznali, że to jest bardzo miły, dystyngowany, a nadewszystko zupełnie nowy rodzaj muzyki salonowej. Za przykładem Yankesek idą i panie angielskie podobno, które gorliwie uprawiają gwizdanie przy akompaniamencie fortepianu.

Czego my się jeszcze ztamtąd możemy doczekać?

* Wpływ przesileń ekonomicznych na zmniejszanie się zawieranych małżeństw, jest dzisiaj stwierdzony stanowczo, jak utrzymują statystycy. W ostatnich czasach rozpoczął w tym przedmiocie szereg odczytów p. Clement Juglar w Towarzystwie statystycznem paryzkiem. Oddziaływanie stanu ekonomicznego według jego zapatrywań jest tutaj tak decydującem, iż z oscylacyj bilansów banku francuzkiego możnaby nieledwie układać tablice zawartych we Francyi małżeństw równie jak wzrostu i ubytku w rubryce urodzeń. Nie wschodząc w to, czy twierdzenie to należy brać dosłownie, czy z pewnemi zastrzeżeniami, przytoczymy jednak kilka zestawień p. Juglar, które bądź-co-bądź uważamy za dosyć wymowne.

Z pomiędzy klęsk, przewrotów i katastrof, które przechodziła Francya od roku 1869, do najważniejszych zaliczyć wypadnie: wojnę niemiecką w roku 1871 — kryzys finansową roku 1873 i jej likwidacyą w roku 1877 — kryzys następną zaszłą w roku 1882 i jej likwidacyą w roku 1887, a jakkolwiek była to katastrofa, która dotknęła przedewszystkiem Anglią, ucierpiały jednak od niej i interesa Francyi bardzo dotkliwie. Otóż z małżeństwami podczas tych różnych przesileń tak się miały rzeczy w Paryżu:

W roku 1869 zawarto w stolicy Francyi małżeństw 18,900. Kiedy w latach 1870 i 1871 wszystko prawie co było między mężczyznami ludzi dojrzałych znalazło się w szeregach, spadła cyfra małżeństw w pierwszym zaraz roku do 14,600 a w następnym do 12,900.

Zaraz po podpisaniu pokoju w roku 1872 podnosi się liczba małżeństw do 21,300, ale poczynając od 1873, gdy przesilenie daje się czuć na wszystkich polach pracy, małżeństwa zmniejszają się do 18,000 i tak trwa ta zniżka, aż po rok 1877.

Wtedy rozpoczyna się znowu era pomyślności materyalnej i trwa do roku 1882, a w tym peryodzie notują rocznie przeciętną cyfrę 21,400 zawartych w Paryżu małżeństw.

Wraz z wypadkami takimi jak upadek przedsiębiorstwa Panamskiego i bankructwo metali zwija się we Francyi mnóstwo fabryk, zamykają magazyny, i co bardzo naturalne jako następstwo, znowu tablice małżeńskie wykazują obniżkę przeciętną do 20,000.

Jeśli nie kwestyonujemy samych cyfr, przyznać trzeba, że istotnie w parze chodzi pomyślność materyalna i odwaga do zakładania rodziny.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

STROJE ŻAŁOBNE

KONCESYONOWANE Z KAUCYĄ 7,500 Rs.

NAJTANIEJ — NAJTANIEJ

Strojo żałobne — Ubiory pośmiertne

Warszawskie Przedsiębiorstwo Pogrzebowe
oraz MAGAZYN ŻAŁOBNY
F. ŚWIEJKOWSKIEGO

SENATORSKA 32. MARSZAŁKOWSKA 136

Suknie, kapelusze, welony, woalki i t. p. posiada w wielkim wyborze.

Pogrzeby, przewożenie zwłok, ekschumacyę, budowę grobów i pomników załatwia szybko.

47188

NAJTANIEJ — NAJTANIEJ

UBIORY POŚMIERTNE

Woda Mexico



WSTRZYMUJE wypadanie **włosów**

PUDER WARSZAWIANKA.



PUDER WARSZAWIANKA.

13 **TŁOMACKIE** SKŁAD GŁÓWNY

Woda Kolońska **LUBELSKA** *Feliksa Wardzkiego.*

Dostać można w składach aptecznych i perfumeryach.

4561352

! WYPRZEDAŻ !

pozostałych towarów z Magazynu

E. LOTH

jako to: Kapeluszy letnich i filcowych damskich i dziecinnych, oraz męzkich wyłącznie słomkowych, również Kwiatów po cenach niżej kosztu, odbywa się w dalszym ciągu w lokalu prywatnym, przy ulicy Nowy-Swiat Nr 57 (blizko S-to Krzyzkiej).

PIERWSZORZĘDNE BURO NAUCZYCIELSKIE

Felicyi Ginejko przy zakładzie froeblowskim *Jadwigi Chrząszczewskiej*

w Warszawie, Nowy-Świat 21. 474326

Zakład Naukowy Żeński 6-cio klasowy
STANISŁAWY ŁAPIŃSKIEJ

W WARSZAWIE,

Krakowskie-Przedmieście Nr 2.

(Wprost Kopernika).

Przyjmuje uczennice na przychodnie, półpensyonarki i pensyonarki stałe. Warunki przystępne. Po za obowiązującym programem nauk szkolnych kładzie się nacisk na krój, roboty ręczne, konwersacyę w obcych językach, oraz dobre wychowanie, w najwyższem znaczeniu tego słowa. Gimnastyka. muzyka, śpiew, tańce bez oddzielnej opłaty od pensyonarek. Zapis i egzamin nowowstępujących uczennic odbywa się codziennie.

Warszawa, ulica DŁUGA № 5.



TELEFONU № 772.

WINA ZAGRANICZNE,

Koniak „IMPERIAL."

Wybór wielki.—Ceny najniższe. 4171426

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe pedagoga **REUSSNERA:**

Najlepsza Metoda

do nauczenia się **BEZ NAUCZYCIELA** czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku w **3**-ch **MIESIĄCACH,** po angielsku w **24**-ch **LEKCYACH.** Cena metody niemieckiej kurs niższy 60 k. — kurs wyższy rs. 1 k. 60. Komplet (oba kursa) **tylko 2 rs. METODA ANGIELSKA** z wymową kurs I k. 75, kurs II rs. 1 k. 20, komplet rs. 1 k. 70. **„SAMOUCZEK" POLSKO-FRANCUZKI** z wymową 37 zeszyt. po 15 k. **NAJLEPSZE ELEMENTARZE: POLSKO-NIEMIECKI i RUSKO NIEMIECKI** z wymową, z 14 wzorkami, kop. 35, 20 i 10. **POLSKI** kop. 25, 15 i 4.

Na przesyłkę pocztową dopłata do każdego rubla po kopiejek 20. Skład główny u autora (Reussnera) **ZŁOTA 6, w Warszawie.** 4181224

SZKOŁA
Haliny z Leszczyńskich Tokarzewskiej.

Przyjmuje pensyonarki dorosłe i panienki kształcące się prywatnie. Rysunki i Malarstwo pod kierunkiem artystów malarzy Andrychiewicza i Wiśniewskiego. Półrocze rysunków **rs. 12.** Półrocze haftów artystycznych **rs. 12.** Kursa otwarte 2 Września.

HORTENSYA Nr 7. 477'6

Marya MATUSZEWSKA
Przełożona Pensyi Żeńskiej

47614

w Warszawie, przy ulicy Leszno Nr 28.

Zawiadamia, iż zapis uczennic na rok szkolny 1896/7, tak przychodzących jak i pensyonarek, odbywa się codziennie od 10—5-ej, kurs nauk zacznie się 1 go Września.

Przyjmuję panienki uczęszczające na pensye, zapewniając im całodzienne życie, opiekę jak najstaranniejszą, konwersacyę francuzką z cudzoziemką i lekcye muzyki. Cena nizka. **Złota 36—33.** 47811



Pismo tygodniowe ilustrowane, nauce i rozrywce młodzieży poświęcone

(NAJSTARSZE W KRAJU).

W części literackiej zawiera: opowiadania historyczne i z podróży, powieści, wiersze, komedyjki, pogadanki naukowe, zadania różne, rebusy i t. p. Wszystko to w formie odpowiedniej dla umysłów młodocianych.

Część illustracyjna, bogata i bardzo starannie prowadzona.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie:		*Na prowincyi:*	
Rocznie. . .	rs. 4.	Rocznie. . .	rs. 5 k. —
Kwartalnie. .	rs. 1.	Kwartalnie. .	rs. 1 k. 25

Jan Skiwski, Warszawa, Chmielna 26.

BIURO KOMISOWE UNGRA

Warszawa, Krak.-Przedm. 9. Stale posiada na składzie nowe i używane:

Telefonu 734.

- **Biblioteki** dębowe, orzechowe, mahoniowe.
- **Biurka** męskie i damskie.
- **Dywany** perskie, bucharskie, francuskie i syberyjskie.
- **Ekrany** mahoniowe.
- **Fortepiany** i panina.
- **Kredensy** dębowe, orzechowe, mahoniowe
- **Krzesła** dębowe i gięte.
- **Lampy** stojące i wiszące.
- **Lustra** czarne, dębowe, orzechowe, złocone.
- **Łóżka** orzechowe, mahoniowe i żelazne.
- **Meble** salonowe i fantazyjne.
- **Obrazy** i dzieła sztuki.
- **Otomany** jutą lub dywanem kryte
- **Słupy** drewniane i stiukowe.
- **Stoły** dębowe, orzechowe, czarne.
- **Szafy** dębowe, orzechowe, mahoniowe.
- **Szkło** i porcelana.
- **Toalety** orzechowe, mahoniowe.
- **Umywalnie** orzechowe z blatami marmurowemi.
- **Zastawy** bronzowe na biurka.
- **Zydle** dębowe.
- **Żyrandole** i kandelabry.

Telefonu 734.

2469

CENY NIZKIE.

SZKOŁA PRYWATNA MĘZKA
K. GROCHOWSKIEGO

Nowy-Swiat Nr 31, róg Chmielnej,

specyalnie przygotowuje uczniów do gimnazyum. Zapis kandydatów codziennie od godziny 9 rano do 3 po południu. Do oddziału przygotowawczego przyjmowani będą kandydaci, którzy ukończyli 7 lat, bez umiejętności czytania i pisania.

OGŁOSZENIA

przyjmuje Administracya

26. CHMIELNA 26.

oraz

WARSZAWSKIE BIURO OGŁOSZEŃ

8. WIERZBOWA 8.